

Okoniem stanął jednak OZPN Katowice. Storpedował reformę rozgrywek, argumentując, że „jest sprzeczna z uchwałą Walnego Zgromadzenia z kwietnia 1985 roku”. W tej sytuacji Zarząd PZPN był przegrany na dwóch frontach: w walce ze skostniałymi władzami polskiego sportu i we własnym środowisku. Nie mogłem wyjść z podziwu: księżycowe pomysły Śląskiego OZPN, to spazzone spojrzenie na kształt wszystkich trzech lig, poparł trener Jezierski. Należę do ludzi, których nie łatwo zaskoczyć, nigdy przedwcześnie się nie poddaję, ale postawa Leszka niemalże zwała mnie z nóg. Co mu strzeliło do głowy? Balował w nocy z „architektami” tych absurdalnych rozgrywek i nagle diabłu duszę zaprzedał? Boże, nawet „Napoleonowi” przytrafiają się chwile słabości! Ocknął się dopiero tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

W czerwcu, na Walnym Zjeździe PZPN wdałem się w pewne układy, po których do dziś mam niesmak.

Nie przeceniam antyreformatorskiej roli Jezierskiego, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w jakimś procencie i on przyczynił się do wywrócenia oszczędnościowego projektu zarządu Związku. Racje centrali dla świątłych ludzi były bardzo czytelne: nadmiernie rozbudowane ligi w czasach, gdy skończyły się patronaty bogatych zakładów pracy, także polityczne polecenia bogatych bonzów partyjnych, są pod każdym względem nieuzasadnione. Kondycja finansowa klubów jest zła, zaczęła się bitwa wyłącznie o byt i przetrwanie. Na tworzenie nowych wartości nie było po prostu pieniędzy.

W wielu klubach walkę o mistrzowskie punkty wyparło zebranie środków na kolejny mecz wyjazdowy. Quo vadis polska piłka? Zdrowa rywalizacja ligowa traciła swój sen, ale krótkowzroczność, prymitywizm i zaściankowość święciły triumfy. W redakcji zastanawialiśmy się, kto jest teraz gorszy – piłkarze czy działacze? Prawda była okrutna. Każda epoka ma takich działaczy, trenerów, piłkarzy, dziennikarzy, na jakich zasługuje. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. W odnie-

sieniu do zawodników znamienna, rzeczywiście na miarę tamtych czasów, była opinia Kazimierza Deyny:

– Patrzę teraz na niektórych piłkarzy reprezentacji i myślę, że gdybym ja był trenerem, u mnie by nie zagrali nawet przez kwadrans.

Deyna wypowiedział te przykre słowa na turnieju oldboyów w Danii dosłownie na kilka dni przed tragiczną śmiercią. Trapiła go współczesność, chętnie więc wracał do przeszłości, lat własnych sukcesów i zwycięstw reprezentacji. Z perspektywy San Diego oceniał naszą piłkarską rzeczywistość. Nie znał realiów, nie wiedział, że cały polski futbol staczał się w dół. Ryszard Tarasiewicz, wówczas jeden z naszych najlepszych piłkarzy zwierzył mi się w przypływie szczerości:

– Mój macierzysty klub Śląsk Wrocław od kilku miesięcy nie wypłaca nam premii. Nie ma z czego, kasa pusta...

Opowiedziałem to Krzysztofowi Mętrakowi. Napisał w jednym ze swoich niepowtarzalnych felietonów:

– Nie widać żadnych powodów, żeby sport miał być wyłączony z „płacenia za długi”. Trzeba się przystosować do reguł nowej gry ekonomicznej, jak i nowych zasad ładu społecznego. Kto tego nie zrobi, upadnie. Kluby sportowe muszą szukać sponsorów. Trzeba na chłodno kalkulować to, czego przez lata nie kalkulowano, bo zawsze można było od Dobrego Wujka – Państwa coś wyrwać.

Jak zdobyć pieniądze? – zastanawiał się w „Piłce Nożnej” również Michał Listkiewicz w felietonie „**PZPN za otwartymi drzwiami**”.

... O to przede wszystkim – a nie o wzrost poziomu szkolenia – muszą się dzisiaj martwić kluby, okręgi oraz oczywiście PZPN... Bardzo zaawansowane są rozmowy z kilkoma firmami zagranicznymi, które chciałyby sponsorować naszą federację... Nakazem chwili stało się też wynegocjowanie rozsądnych stawek od rodzimej telewizji za transmisje z meczów ligowych i międzynarodowych... Kiepsciutko prezentują się też dochody od Totalizatora Sportowego.

Jak to wówczas było w okręgach, wiem z własnego doświadczenia, wszak od kilkunastu miesięcy kierowałem Warszawskim OZPN. Transformacja ustrojowa pozbawiła środków do życia nie tylko pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych, zaskoczyła nieznany dotychczas zjawiskami również wiele innych środowisk, także sportowych – piłkarstwa nie oszczędzając. W Warszawie nie było wcale lepiej, niż w innych regionach kraju. Nasilające się trudności pobudzały jednak inicjatywę, rodziły pomysły, zmuszały do elastyczności w podejmowaniu decyzji. Znacznie wcześniej niż w PZPN na jednym z zebrań WOZPN wyraziłem smutną prawdę:

Pierwszą połowę 1990 roku musimy koledzy poświęcić głównie na rozwiązywanie niekorzystnych spraw finansowych... Na razie szkolenie schodzi na dalszy plan.

Ryszard Kulesza, który wtedy w WOZPN sprawował funkcję wiceprezesa do spraw szkolenia, oczywiście ubolewał, że w warszawskim okręgu nie ma już etatowego trenera koordynatora. Dotychczasowy nie potrafił wczuć się w trudną sytuację finansową naszej organizacji. Z braku odpowiednich środków zwolniliśmy część pracowników etatowych, tymczasem ów trener głośno domagał się podwyżki dotychczasowego wynagrodzenia. Oburzenie było powszechne, podziękowaliśmy mu za współpracę. Odszedł w niesławie.

Na kilka miesięcy do społecznego sprawowania funkcji trenera koordynatora pozyskałem Mieczysława Broniszewskiego. Łatał, co mógł, zaglądał do klubów, próbował wyławiać uzdolnionych chłopców, ale brak pieniędzy hamował jego ambicje. Dopiero powołanie KONWENTU PREZESÓW i próba utworzenia FUNDACJI „SAWA FUTBOL” pozwoliły na przywrócenie w Okręgu priorytetu pracy z młodzieżą. Dobre wyniki przyszły jednak dopiero wtedy, gdy trenerem koordynatorem w WOZPN i makroregionie warszawsko-mazurskim został Zygmunt OCIMEK. Złote i srebrne medale w rozgrywkach im.

Wacława Kuchara, Jerzego Michałowicza i Kazimierza Deyny posypały się jak z rogu obfitości.

Zacieśniała się współpraca między PZPN i WOZPN. To dobra tradycja, wszak Warszawa zawsze była nieprzebraną kuźnią działaczy dla piłkarskiej centrali. W pełni doceniał to nowy prezes PZPN, red. Jerzy Domański. Mocnym dowodem umacniającej się symbiozy Brackiej z Alejami Ujazdowskimi były już zeszłoroczne, wspólnie organizowane, uroczystości związane z 70-leciem istnienia PZPN. Potęgowało się zbliżenie kierownictwa PZPN z działaczami stołecznego piłkarstwa. Poczuliśmy się autentycznymi partnerami centrali, byliśmy sobie wzajemnie potrzebni. Pięknie mówił o warszawskich klubach i ofiarności działaczy ówczesny wiceprezes do spraw kontaktów międzynarodowych Kazimierz Górski, a członek Komitetu Wykonawczego Michał Listkiewicz trafnie opisał wagę tego spotkania w „Piłce Nożnej”:

... Ostatnie posiedzenie Komitetu Wykonawczego PZPN odbyło się... na wyjeździe. Co prawda Aleje Ujazdowskie (PZPN) od ulicy Brackiej (WOZPN) dzieli zaledwie kilkaset metrów, ale nie bez racji spotkanie działaczy piłkarskiej centrali z władzami Warszawskiego OZPN uznano za historyczne. Od dawna problemy stołecznego piłkarstwa nie były kierownictwu PZPN przedstawione tak otwarcie i tak kompleksowo.

Co nas łączyło? Nie tylko bliskie sąsiedztwo, długa i dobra tradycja, wciąż nie gasnąca pasja społecznego działania, więzy koleżeńskie, częste przyjaciół rozmowy, nawet biesiady. Tym razem jednak przeważało zbliżone spojrzenie na bolączki polskiego piłkarstwa. Nie było dostatecznych środków do życia, ale „pseudoreformatorzy” zamiast chleba zafundowali nadmiar ligowych igrzysk. Nie realizm, nie rozumne „według stanu grobla”, lecz starosarmackie „zastaw się, a pokaż się” prześwięcały prowincjonalnym „magnatom”. Programowo byli oni przeciwni wszelkim zmianom, głównie w sferze rozgrywek. Prezes Domański zmie-

rzał w kierunku budowania partnerskich stosunków z każdym Okręgowym Związkiem Piłki Nożnej, ale jego wysiłki w tworzeniu takiego modelu współpracy centrali z terenem okazały się zwykłą utopią. Zarząd przegrywał. Zaczęło się to wszystko w Roku Jubileuszowym PZPN, obchodzonym właśnie swoje siedemdziesięciolecie.

Przez dziesiątki lat obserwowałem (i komentowałem) obrady Walnych Zgromadzeń PZPN z... „łóży prasowej”, najpierw jako przedstawiciel „Przeglądu Sportowego”, a później „Piłki Nożnej”. Nigdy jednak nie byłem delegatem na zjazd, choć na brak propozycji reprezentowania tam klubów lub okręgów narzekać nie mogłem. W roli tej wystąpiłem dopiero w 1989 roku. W połowie lutego dość przypadkowo objąłem kierownictwo Warszawskiego OZPN. Zebranie przebiegało wtedy już w nieco innym stylu, zaczęło pachnieć zmianą klimatu. Jednak znowu był tylko jeden kandydat na funkcję prezesa – Marian Uraz i zgodnie z wieloletnią tradycją zapowiedziano wybory jawne. Ale nagle padły głosy z sali, pierwszy – „potrzebny kontrkandydat”, a drugi – „wybory powinny być tajne”.

Prowadzący obrady późniejszy pierwszy wiceprezes PZPN Eugeniusz Kolator podjął temat. Wtedy rękę w górę podniósł Zbigniew Stanaszek z LKS „Mazur” Karczew i zaproponował w imieniu małych klubów moją kandydaturę. Sprzeciwu nie było. Przegłosowano też formę wyborów – tajne. Kolejna nowość: poproszono ustępującego prezesa Mariana Uraza i mnie o publiczne zaprezentowanie programu działalności. Tego dawno na takich zebraniach nie było. Nieco zaskoczony, podszedłem do mikrofonu i dosłownie „z kapelusza” wyłożyłem swoje racje. Były pełne żaru, ofensywne, typowo warszawskie, zgodne z duchem oczekiwanych przemian. Gdy skończyłem red. Mirosław Skórzewski z „Przeglądu Sportowego” wyciągnął ku mnie przyjacielską dłoń:

- Juruś, witam nowego prezesa WOZPN! Wygrałeś to w cuglach!...
- Miruś, za wcześnie się podniecasz... Jeszcze nie było wyborów...
- Będą tajne... To twój duży atut... Zresztą, twoje wystąpienie zrobiło wrażenie na delegatach... Zajmę się przygotowaniem bankietu w „Domu Dziennikarza” na Foksal...

Forma wyborów spodobała się delegatom, a dla mnie rzeczywiście była korzystna, bo wybrano mnie sporą większością głosów. I tak na długie lata i kilka kadencji stałem się prezesem Warszawskiego OZPN. Otrzymałem też mandat delegata na Walne Zgromadzenie PZPN. Impreza odbywała się w Domu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej 115. Debiut w nowej roli już nie był tak pomyślny. Wygłosiłem przemówienie, chyba najlepsze w całej karierze działacza społecznego, ale zupełnie nie przystające do „piłkarskiego betonu” zebranego w tej sali. Zbyt merytoryczne i krytyczne. Tymczasem ludzi interesowała głównie bitwa o pezetpeenowskie stołki i ewentualne zyski dla własnego środowiska. Atmosfera żywo przypominająca szlacheckie sejmiaki: Każdy sobie rzepkę skrobie...

Referat sprawozdawczy wygłosił ustępujący prezes płk Zbigniew Jabłoński. Odważnie, krytycznie ocenił mijającą kadencję, ale był przeciwny odejściu Wojciecha Łazarka. Natomiast gorąco apelował o reorganizację wszystkich trzech lig i kierowanie się przy tej niezbędnej kuracji dobrem całego piłkarstwa, a nie lokalnym partykularyzmem. To też było ostre wystąpienie, co nie wróżyło Jabłońskiemu powodzenia w wyborach na prezesa. W „Domu Przyjaźni” wciąż unosił się duch odchodzącej epoki. Dyskusję utrzymano w dawnym klimacie i starym stylu. Nastrojami sterowali delegaci z Katowic. Przyjechali na Zgromadzenie dobrze przygotowani, z pomysłami trafiającymi w gusta zebranych. Piłkarski koncert życzeń, dla każdego coś miłego, głównie w sprawie kształtów wszystkich trzech lig. Wygrali.

Zwyciężyła więc prywatna, lobby okręgów nieprzychylnych centrali i nomenklatura z ośrodków ligowych. Siły te odrzuciły reformę zaproponowaną przez zarząd PZPN, bo uderzała w ich wąskie interesy. Zdecydowaną większością głosów utrzymano I ligę w dotychczasowym kształcie (16 drużyn), utworzono 20-zespołową II ligę w jednej grupie (!) i do granic monstrualnych rozbudowano III ligę – cztery grupy po 20 drużyn każda. Farsa w roku jubileuszowym! Zamiast powszechnie oczekiwanej reformy kompromitacja „reformatorów”. Opinia publiczna przyjęła te karkołomne decyzje jako „dziurawienie piłki”.

W wyborach przepadła większość członków dotychczasowego zarządu i prezes, który opowiedział się za odchudzeniem ligi. Nowym szefem PZPN został red. Jerzy Domański. Upatrywał we mnie kandydata na jednego z wiceprezesów PZPN, ale po moim krytycznym wystąpieniu wyraźnie dał do zrozumienia, że w tym towarzystwie „nie dałem mu żadnych szans”. Zasadnicze powody były dwa: nie uczestniczyłem (mimo natarczywych telefonów do domu) w nocnych rodaków rozmowach o dzieleniu wyborczych łupów, a przecież byłem już prezesem WOZPN, no i nie zostawiłem suchej nitki na dotychczas obowiązujących wiernopoddańczych układach w strukturach PZPN.

Oburzenie było aż nadto widoczne. Zaledwie kilka osób miało odwagę zbliżyć się do mnie i podziękować za odwagę, strawną formę i trafną merytorycznie treść wystąpienia. Najgoręcej wyraził to obecny na tym Zjeździe Bogdan Łazuka. Gonił mnie po sali i wykrzykiwał:

– Jurek! Jurek! Stój! Gdzie tak pędzisz?... Ale im przyłożyłeś! Mam jednak wątpliwości czy oni cośkolwiek z tego zrozumieli...

Moje spojrzenie na polski futbol końca lat osiemdziesiątych podzielił jednak red. Mieczysław Szymkowiak, niegdyś wiceprezes PZPN, a teraz aktywny członek Koła Seniorów. Przypomniał jak dokładnie przed czterdziestoma laty

ludowa władza likwidowała wszystkie związki sportowe i manipulowała ligą piłkarską. W miejsce PZPN – w narzuconych z zewnątrz strukturach – pojawiła się sportowa atrapa czyli Sekcja Piłki Nożnej Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. Nastrój w domu przyjaźni polsko-radzieckiej i podejmowane tam decyzje bardzo podobne – przekonywał:

– ... Krótkowzroczność, prymitywizm, zaściankowość... To kłóci się z klimatem zmian zachodzących w naszym kraju. Wtedy jednak inni za nas decydowali, a teraz niby demokratycznie wybrani delegaci sami się kompromitują. Niedawno Dziekanowskiemu zablokowali paszport, dziś zahamowali postęp w lidze. Wywrócili reformę. Czy to ma być powrót do normalności? Boże, teraz tylko handel „żywym towarem” może zmniejszyć powstałe niedobory. Czy tak rozdmuchana liga zdoła się obronić piłkarsko i ekonomicznie?...

Nowy prezes związku nie miał jednak wystarczających sił na walkę ze szkodnikami i... nie dotrwał do końca kadencji. Był przeciwny nadętem kształtom rozgrywek ligowych, zapowiedział też przywrócenie pełnego amatorstwa w III lidze. Rzucił pomysł w gniazdo os. Reakcja „zagrożonych” była natychmiastowa. W połowie stycznia 1991 roku we Wrocławiu zebrali się przedstawiciele 12 klubów ligowych i opracowali „Statut – regulamin Unii Klubów Ligowych PZPN”, w którym zasygnalizowali jej autonomię w... ramach PZPN. Pomysł dobry, ale zaprezentowany w formie kamuflażowej, bo ambicje większości członków – założycieli „Unii” były znacznie większe. Postanowienie to rychło więc złamano i podjęto bardziej radykalną uchwałę: *„PZPN i organizacje z nim związane są ciałami służebnymi i mają obowiązek honorowania postanowień podjętych na niniejszym spotkaniu”*.

Efektom obrad „dwunastki gniewnych” było powołanie Rady Ligi Polskiej. Kwartet najaktywniejszych (Andrzej Bińkowski, Piotr Bierwagen, Marian Dziurawicz i Maciej Kapelczak) zobowiązano do opracowania programu i regula-



minu funkcjonowania Rady. Ludziom nie obeznanym z działalnością w piłkarstwie, a takim niewątpliwie był najgłośniejszy pokrzykujący Kapelczak, zamarzył się kolejny duży skok: zwołanie Nadzwyczajnego Zgromadzenia Sprawozdawczo-Wyborczego PZPN. Klimat po temu był sprzyjający, przeto Maćko z Wrocławia wszczął ostrą walkę z kierownictwem związku.

Programowo zupełnie inne zdanie miał Jerzy Domański. Odważnie i rozsądnie bronił stanowiska Komitetu Wykonawczego w sprawie redukcji lig, ale na apele te głusi byli przedstawiciele klubów. Co więcej, Domański nie był w stanie przekonać do swoich idei nawet członków zarządu PZPN. Przegrał z tymi, co go wynieśli na fotel prezesa. Honor i ambicja nie pozwalały mu w takich warunkach na dalszą działalność: podał się do dymisji. Rezygnacja została przyjęta, a funkcję pełniącego obowiązki prezesa powierzono Kazimierzowi Górskiemu. Zapowiedziano Zjazd Nadzwyczajny.

Jak ocenić tę skróconą kadencję? Praktycznie cały rok 1989 stał pod znakiem jubileuszu 70-lecia PZPN. Organizowano lokalne turnieje, okolicznościowe mecze, wystawy i pokazy, zdobywano Młodzieżową Odznakę Piłkarską. Przywrócono do łask Dzień Piłkarza. Centralne imprezy zorganizowane wspólnie przez PZPN i WOZPN odbyły się w Mirkowie pod Warszawą. Atrakcją był kiermasz towarów rzadko spotykanych na rynku; do Warszawy najchętniej przewożono pluszowe misie i papier toaletowy. W połowie listopada PZPN wspólnie z „Przeglądem Sportowym”, katowickim „Sportem”, „Piłką Nożną” i redakcją sportową Telewizji Polskiej, ogłosił konkurs – plebiscyt na wybór piłkarza i trenera 70-lecia. Wątpliwości nie było: najlepszym piłkarzem wybrano niedawno tragicznie zmarłego Kazimierza Deynę, drugi był Włodzimierz Lubański, trzeci – Zbigniew Boniek, a czwarty – Grzegorz Lato. Trenerem siedemdziesięcioletnia z ogromną przewagą punktową został Kazimierz Górski, drugie miejsce zajął Antoni Piechniczek, a trzecie Andrzej Strelau.

Wyróżniono również Ryszarda Kuleszę i Ryszarda Koncewicza. „Fajce” wręczono Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Moja rola i działacze WOZPN oraz klubów warszawskich w organizowaniu głównych uroczystości w Mirkowie była znacząca. Mimo braku pieniędzy (kluby i okręgi ledwo wiązały koniec z końcem) nie było szaro i nudno. Odżyły gry i zabawy. Przemiany ustrojowe szczególnie mocno dotknęły średnie i małe kluby. Skończyły się dotacje państwowe, ale pasja działania wyraźnie wzrosła. Poszukiwano nowych rozwiązań. Pojawiły się pierwsze formy sponsoringu, zacieśniła się więź okręgów z klubami. W Warszawie na przykład, z mojej inicjatywy prawie przez dziesięć lat funkcjonował i dobrze zapisał się w historii WOZPN – KONWENT PREZESÓW. Ligowcy wspólnie z klubami niższych klas skutecznie wspierali organizacyjne i szkoleniowe pomysły służące stołecznemu piłkarstwu.

### WIECIE KOLATOR... SŁUCHAJCIE ŻELAZKO...

Sympatia dla futbolu i chęć skutecznego w nim działania były wówczas w najwyższej cenie. Środowisko starało się być solidarne i zintegrowane. Jeszcze nie wyczuwało się nieuchronnie nadchodzącego podziału na „my” i „oni”, bogatych i biednych, chuchania na reprezentantów z lig zagranicznych i nieco z ukosa spoglądania na grajków krajowych. Taka właśnie atmosfera dokładnie w połowie grudnia 1989 roku charakteryzowała również finałową uroczystość Roku Jubileuszowego PZPN. W Sali Turkusowej Grand Hotelu w Warszawie nawet wiecznie niezadowolony Jan Tomaszewski bił brawo, gdy referat okolicznościowy wygłaszał prezes Jerzy Domański, a wicepremier Jan Janowski publicznie wyraził uznanie dla założycieli PZPN, jego obecnego kierownictwa i pięknej historii naszego futbolu „oczka w głowie” większości rodaków.

W felietonie „PZPN za otwartymi drzwiami”, tak to opisał w „Piłce Nożnej” Michał Listkiewicz:

„Uroczystość w warszawskim „Grandzie” była moim zdaniem taka, jaka powinna być w obecnej sytuacji polskiego futbolu i w ogóle całego naszego życia społecznego. Skromnie, rzeczowo, w gronie prawdziwych przyjaciół z boisk i stadionów”.

O stworzenie takiej właśnie atmosfery na tym niecodziennym święcie naszego piłkarstwa dość długo zabiegał prezes Jerzy Domański. Usiłował zażegnać wszelkie spory i jeszcze mocniej zespolić środowisko. W „Grandzie” Tomaszewski obok Andrzeja Strejlaua i Michała Listkiewicza, więcej – także obok Leszka Jezierskiego, któremu ostatnio mocno wdarł się za „skórę”, a Stanisław Eksztajn przekazujący Eugeniuszowi Kolatorowi i Witowi Żelazce „znak spokoju”. To był spory sukces prezesa, bo przecież wciąż krążyło wśród sędziów nierozważne oświadczenie ich „ojca chrzestnego”:

– „Wiecie Kolator, gwizdać owszem – umiecie, ale zagranicę to wy nie wyjedziecie”...

– „Słuchajcie Żelazko, ponieważ publicznie mnie skrytykowaliście, będę głosował, żebyście nie sędziowali w pierwszej lidze”.

W „sędziowskiej rodzinie” niezbyt mile widziany był też nieskazitelnie czysty moralnie Edmund Brzeziński i buntowniczy Jerzy Hołub. Co się u nich ówczesnym „prominentom w czerni” najbardziej nie podobało? Styl sędziowania! Byli przede wszystkim partnerami dla zawodników, a nie katami, umieli znaleźć z nimi wspólny język. Potrafili wczuć się w atmosferę na placu, tłumili gorszące nastroje, współtworzyli widowisko. Mieli w sobie coś z szołmenów. Kibice to akceptowali, zwłaszcza przy Hołubie i Żelazce nudzić się było niesposób. Na uroczystościach jubileuszowych humor wszystkim dopisywał. Fanfar nie było, stoły skromnie zastawione, ale emocji i zadowolenia nie brakowało. Na moment zapomniano o szarej rzeczywistości.

Zły wpływ na sytuację w naszym piłkarstwie wywierały wciąż głośne i bulwersujące echa czerwcowego Walnego Zgromadzenia PZPN. Pogłębiało się „dziurawienie piłki”, po kilkunastu latach tłustych, znowu zabrakło „biało-czerwonych” w finałach mistrzostw świata. Na Copa del Mondo we Włoszech nasz futbol reprezentowali tylko trzech działacze (prezes Domański, sekretarz generalny Marek Pietruszka i jego zastępca Zbigniew Kaliński) oraz siedmiu trenerów – obserwatorów: Edmund Zientara, Ryszard Kulesza, Andrzej Strejlau, Władysław Stachurski, Janusz Wójcik, Włodzimierz Gąsior i Jerzy Wyrobek.

Plonem tej skromnej wyprawy nad Tybr był jednak w miarę szybko i dość poprawnie opracowany „**Raport z II Mondiale Italia '90**” oraz przyjęcie przez prezydenta FIFA Joao Havelange’a zaproszenia do Polski. W publikacji (znowu do użytku wewnętrznego) podkreślono teraz już powszechnie stosowane zmiany w ustawieniu zawodników na boisku (system gry) i taktyczne: trzech obrońców, pięciu pomocników i dwóch napastników oraz tzw. „skracanie pola gry”. Raport przestudiowałem, poza tym moc cennych uwag osobiście przekazał mi Edmund Zientara. Przekonywał, że futbol w najbliższej przyszłości wcale nie musi być nudny i wyłącznie defensywny. Copa del Mondo 1990 był turniejem bez rozkapryszonych gwiazd grających egoistycznie i wyłącznie na własny rachunek. Nawet dwie największe indywidualności, Niemiec Lothar Matthaeus i Argentyńczyk Diego Armando Maradona grali dla dobra swoich drużyn. Turniej we Włoszech utwierdził Zientarę w przekonaniu, że bodźce finansowe nie są jedyną i główną motywacją do dobrej gry. O klasie, formie i wizerunku zawodnika decydują przede wszystkim umiejętności.

Również Zbigniew Boniek z uwagą obserwował te mistrzostwa. Kibicował gospodarzom, wszak od lat mieszkał w Italii, a począwszy od 1982 roku przez kilka ładnych sezonów grał w Juventusie i Romie. Od początku II Mondiale miał

jednak nietęgą minę, bo jego faworyt z trudem wygrywał. Z Austrią i USA tylko po jednej bramce strzelili Schillaci i Giannini, dopiero w meczu z Czechosłowacją dwa gole dla Włochów zdobyli Schillaci i Baggio. Po wygranych w II rundzie z Urugwajem 2:0, a w ćwierćfinale z Irlandią 1:0, wydawało się że będący w doskonałej formie strzeleckiej Schillaci, poprowadzi Włochów do finału Copa del Mondo . Ale na tej drodze w półfinale stanęła Argentyna, mistrz świata z poprzedniego Mundialu w Meksyku. Tak to widział Zbigniew Boniek w swej barwnej publikacji:

... „W Neapolu odbył się pogrzeb włoskiej piłki. Italia mogłaby przegrać na tych mistrzostwach z każdym, ale nie z Maradoną. Trzeba znać Włochy, trzeba wiedzieć o wciąż utrzymującym się podziale na północ i południe, żeby zrozumieć dlaczego niemal całe Włochy nie lubią Maradony z Neapolu. Tymczasem – moim zdaniem – Diego rozegrał najlepszy mecz na tych mistrzostwach. W dogrywce, mimo że Argentyna grała w dziesiątkę, Maradona był absolutnie piłkarzem numer jeden na boisku. Z pełną świadomością dążył do karnych, zdając sobie sprawę, że mistrzowie świata będą mieli kolosalną przewagę psychiczną nad gospodarzami”.

Włochy upokorzone, rzuty karne wygrała Argentyna i przeszła do finału.

... „To był na pewno jeden z brzydszych finałów w ostatnich kilkunastu latach – stwierdził Boniek. – W Meksyku Argentyna była nadzieją wszystkich wielbicieli futbolu. Wielki Diego zdeptał wówczas konkurencję... Nie ma najmniejszego sensu porównywanie finału z 1986 roku i ostatniego. Tam Argentyna była faworytem, tutaj liczyła wyłącznie na Maradonę i znowu na karne. Taktyka trenera Bilardo mogła być tylko jedna – zaryglowanie tyłów 6-7 zawodnikami i niezłomna wiara w Maradonę, a potem w rzuty karne...”.

Tak, Carlos Bilardo dobrze ocenił wartość i możliwości swojej drużyny. Liczył, że ktoś z reprezentacji Niemiec sfauluje Maradonę i w taki oto sposób ty-

tuł mistrza świata znowu powędruje do Buenos Aires. Ale tym razem wyobrażenia go zawiodła. Karny był i on przesądził o tytule, jednak nie Kohler sfaulował Maradonę, tylko Serrizuela błyskotliwego Voellera. Jedenastkę pewnie wyegzekwował Andreas Brehme i Franz Beckenbauer ze swoją drużyną znowu triumfował. Oceniał to krótko, ale treściwie: – **„Byliśmy drużyną lepszą, zasłużyliśmy na zwycięstwo”**. Włochom na pocieszenie pozostała walka o trzecie miejsce. Wygrali z Anglią 2:1. Ocenia Zbigniew Boniek:

– ... „Moim zdaniem był to najładniejszy mecz całego turnieju. Dopiero w chwili, gdy stawka nie wiązała nóg, Włosi potrafili pokazać wiele wspaniałych akcji. Również Anglicy udowodnili, że akurat tego dnia i jedni i drudzy sprawiliby Niemcom dużo więcej kłopotów w finale niż Argentyna. Włosi wygrali trochę przy pomocy Shiltona, ale najważniejsze dla gospodarzy, że dzięki bramce „Toto” Schillaciego i tytułowi króla strzelców mogli zachować resztki dobrego samopoczucia straconego w Neapolu... To Mundiale jeszcze raz udowodniło, że włoska piłka nożna opiera się na doskonałej grze w defensywie... Trzecie miejsce zapewne nie satysfakcjonuje Włochów, ale było godnym pożegnaniem z piękną imprezą”.

Wkrótce po mistrzostwach świata we Włoszech prezydent FIFA, Joao Havelange rzeczywiście odwiedził Polskę. Spotkanie z kierownictwem PZPN i wybraną grupą działaczy piłkarskich z całej Polski traktował priorytetowo, ale nie omieszkał też spotkać się w Gdańsku z Lechem Wałęsą, a w Warszawie z wicemarszałkiem Sejmu Olgą Krzyżanowską i wicepremierem Janem Janowskim. Szef FIFA był wobec „przyjaciół z Polski”, podkreślał to wszędzie i przy każdej okazji, niezwykle szarmancki. W sali recepcyjnej hotelu „Victoria”, gdzie o dziwo mnie poznał i pamiętał, że w roku 1982 podczas Mundialu w Hiszpanii, udzielił mi wywiadu, stwierdził zobowiązująco:

– Przybyłem do Polski, aby pomóc w rozwiązywaniu problemów z jakimi się boryka wasz futbol.

Na Wybrzeżu złożył głęboki ukłon pod adresem „Solidarności”:

– Gdańsk jest symbolem, kolebką ruchu, który stał się głównym animatorem przemian nie tylko w Waszym kraju. Zaprosiłem przewodniczącego Lecha Wałęsę do udziału w ceremonii otwarcia mistrzostw świata w Stanach Zjednoczonych w 1994 roku...

W podróży do Gdańska towarzyszył prezydentowi FIFA ówczesny wiceprezes PZPN Kazimierz Górski. Lech Wałęsa powitał go niezwykle serdecznie:

– Pan Kazimierz jest dla mnie wielką postacią. Ostatni patriotyczny dreszczyk emocji, jaki przeżyłem, zawdzięczam jemu. W Niemczech sprawił, że byliśmy lepsi od Argentyny, Włoch i Brazylii...

Towarzyszyłem Górskiemu w podróży do Stalowej Woli na I Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej Drużyn Polonijnych. Na stadionie pojawił się niemal równocześnie z powszechnie szanownym tam biskupem katolickim, entuzjastą futbolu. Nie miałem wątpliwości, że to duszpasterza powitano gromkimi oklaskami. Tymczasem wyraźnie podekscytowany spiker krzyczał do mikrofonu: – *Serdecznie witamy wybitnego trenera, wiceprezesa PZPN – Kazimierza Górskiego!* Ciarki przeszły po mnie od stóp do głowy... Takie wyróżnienie?!... Na drugich mistrzostwach polonijnych w Stalowej Woli PZPN reprezentowałem ja, na wniosek Kazimierza rok wcześniej wyniesiony do rangi wiceprezesa do spraw sportowo-szkoleniowych. Otwierałem i zamykałem imprezę, przemawiałem i wraz z uczestnikami turnieju oraz tysiącami widzów głośno śpiewałem: – **Marsz, marsz Polonio! Nasz dzielny narodzi!...**

Miałem też powody do zadowolenia czysto osobiste. Pierwsze miejsce w turnieju zajął „Polonez” Wiedeń, którego prezesem i jednocześnie kapitanem drużyny był mój syn, Leszek. Jak tam się znalazł? Wyjechał z Polski z żoną i córką wkrótce po zakończeniu stanu wojennego. Kto mu ułatwił ten manewr, nie mam pojęcia. Akurat wtedy w szpitalu na Bródnie operowano mi żyłaki. Zaraz po tym

po raz kolejny wezwano mnie na dywanik do Biura Prasy KC PZPR. Ktoś „życzliwy” ze „spółdzielni ucho” doniósł o „przestępstwie” syna. W „białym domu” przesłuchiwał (właściwie rozmawiał) ze mną Jerzy Domański, wtedy jeszcze bardzo młody działacz PZPN, a w latach 1989 – 1991 jego prezes. Donos skwitował jednym zdaniem: – *Nie mam zamiaru legalizować odpowiedzialności zbiorowej...*

Wewnątrz PZPN wiele spraw wciąż wymagało pilnego rozwiązania. Odważnie podejmował je właśnie Domański, między innymi: próbował napełnić pustawą kasę związku, zażegnać spory nękające środowisko sędziowskie, skuteczniej realizować nadawanie licencji trenerskich i łagodzić napięcia wśród starszych i młodszych szkoleniowców. Do rangi klasyka urosło starcie Leszka Jezierskiego z Janem Tomaszewskim. Niedawno „Tomek” był uczniem „Napoleona”, a teraz sam usiłował go pouczać. Sąd koleżeński PZPN podjął decyzję kompromisową: – *Panowie, podajcie sobie ręce! Wszak jesteśmy z tej samej piłkarskiej rodziny.* Tomaszewskiego jeszcze bardziej to rozjuszyło, na znak protestu zrezygnował ze współpracy z selekjonerem, Andrzejem Strejlauem. Zapytany zaraz potem, co będzie robił w klubie jako samodzielny trener, odpowiedział szybciej niż pomyślał:

– To samo, co Jezierski – tylko wszystko odwrotnie!

Wysiłki nowego prezesa dość często przypominały „szyfrowe prace”, jednak szczególnie jeden ruch organizacyjno-szkoleniowy trzeba wyraźnie zapisać na jego dodatnie konto. W końcu 1989 roku PZPN podpisał porozumienie dotyczące powołania i współpracy z Piłkarską Fundacją Olimpijską. Sfera działań organizacyjnych spoczywała głównie na Fundacji, natomiast w gestii PZPN, głównie Wydziału Szkolenia, były formy tworzenie drużyny na Olimpiadę w Barcelonie. Na czele Rady Fundatorów Piłkarskiej Reprezentacji Olimpijskiej stanął znany biznesmen Zbigniew Niemczycki. Jego credo było na miarę nowych czasów:

W futbolu obecnej doby nie ma już miejsca na amatorszczyznę, improwizację w sensie organizacyjnym, liczenie na przypadek lub zrządzenie losu. Sko-



ro wymagamy od piłkarzy gry na wysokim poziomie, musimy im stwarzać odpowiednie warunki do podnoszenia kwalifikacji.

Powołano Zarząd Fundacji, a prezesurę powierzono Henrykowi Losce. Wybór trafny nie tylko dlatego, że Henio był doskonale obeznany z pracą w wielkim klubie i PZPN. W Górniku Zabrze kolekcjonował tytuły mistrzowskie i sukcesy w Pucharze Polski, również w PZPN działał skutecznie i był powszechnie lubiany. „Miał szczęśliwą rękę”, czego i gdzie się nie dotknął, tam leciała mu manna z nieba. Umiał skupić wokół siebie wartościowych ludzi i jako wiceprezes lojalnie z nimi współpracować. Tak było i tym razem. Znalazł wspólny język z trenerem Januszem Wójcikiem, choć nie raz zgrzytał na niego zębami, także z jego asystentem Pawłem Janasem i kierownikiem drużyny Krzysztofem Rola-Wawrzeckim. Zawiózł mnie Loska do Jaworzna na międzynarodowy debiut tej drużyny z olimpijską reprezentacją Bułgarii. Była to ekipa jeszcze „zielona”, ale... obiecująca, bez trudu wygrała 2:0. Miała zresztą jeszcze sporo czasu na odpowiednie „dotarcie”.

W roku 1990 istniały praktycznie trzy reprezentacje seniorów: dwie A, jedna oparta niemal wyłącznie na zawodnikach występujących w krajowej lidze, druga mocno wspierana przez graczy z lig zagranicznych i... trzecia – olimpijska. Zadania? Przed połączonymi zespołami A kolejna próba zakwalifikowania się do finałów mistrzostw Europy w Szwecji, a przed drużyną olimpijską awans na Igrzyska w Barcelonie. Początek kandydatów na Szwecję był fatalny. W Gdańsku z okazji „Igrzysk Solidarności” gościła klubowa jedenastka Eintrachtu Frankfurt. To był przykry widok, nasi dość skrupulatnie wyselekcjonowani ligowcy zaprezentowali styl gry jakby żywcem wzięty z zamierzchłej epoki. Zachowawczy, bez ładu i składu, bierność fizyczna i psychiczna. Kandydaci do reprezentacji przeszli po prostu obok gry. Taka postawa, abstrahując od kiepskich umiejętności, napawała smutkiem szczególnym. Miernej wartości rywal wygrał 4:1.

Kreowanie graczy tej klasy, jakich zaprezentowano w Gdańsku, było niewątpliwie niegodziwością wobec historii. Jednak terażniejszość oddawało dość wiernie. Drugi rzut kadrowiczów przypominał uliczną zbieraninę. Nie dorosli do reprezentacji. – Może zabrzmiało to nieco humorystycznie – pisałem w tekście przed meczami z Anglią – ale faktem jest, że skazani jesteśmy na gloryfikowanie przeciętności. Cała nadzieja w piłkarzach występujących – w ligach zagranicznych. Również „olimpijczycy” zbyt wolno dojrzewali. Brakowało im inwencji twórczej, odwagi, młodzieńczej żywiołowości. Nie grali na miarę oczekiwań. Kiedy się wreszcie obudzą?

Olśnienie przyszło na stadionie Tottenhamu w Londynie, w przeddzień meczu pierwszych reprezentacji Anglii i Polski o punkty w mistrzostwach Europy. Przed przerwą „olimpijczycy” jeszcze drzemali, ale gdy w czasie przerwy Janusz Wójcik mocno ich zbeształ, w drugiej połowie przeszli cudowną metamorfozę. Grali teraz ambitnie i konsekwentnie. O zwycięstwo! Dostrzeżliśmy to na trybunach i także się ożywiliśmy, a gdy w końcowej fazie meczu Dariusz Adamczuk zdobył zwycięską bramkę, Loska omal nie oszalał. Z radości tak mnie trzasnął w chory kręgosłup, że z bólu dość długo nie mogłem złapać oddechu. Henio nie był w stanie opanować wzruszenia, reagował tak jakby uległ narkotycznemu odurzeniu. Fruwał gdzieś w obłokach, myślałem, że się ze szczęścia popłaczę. W takim stanie jeszcze nigdy go nie widziałem. Przepraszał, gdy na bankiecie rozluźniła go whisky...

Teraz Wembley czekało na armadę Andrzeja Strelaua. Ten sam termin, taki sam dość ciepły i pogodny wieczór, co w roku 1973. Tylko przepaść w umiejętnościach i szczęściu w ciągu tych 17 lat ogromna. Było 1:1, jest 0:2! Wtedy i teraz w centrum uwagi był Kazimierz Górski. Miał jednak dużo więcej szczęścia jako trener niż działacz. Mnie na ten mecz praktycznie ostatni w dziennikarskiej karierze, bo już zacząłem myśleć o emeryturze, wydelegował tygodnik

„Piłka Nożna”. Diety jak zawsze skromne, ledwo wystarczały na hotel podłej kategorii, ale z Górkim zginąć nie mogłem. Czuł się w Londynie, jak prawdziwy lord. Reprezentował nasz futbol na wszystkich oficjalnych spotkaniach i towarzyskich przyjęciach. Brał mnie do kompanii. Otrzymał do dyspozycji superlüksowego Rolls-Royce’a i hulał po Londynie. A ja razem z nim.

Powoził nas po londyńskim bruku kierowca ustrojony w elegancką liberie i czapkę z epoki wiktoriańskiej. Zatrzymywał się wyłącznie na sygnał gościa z Polski. Bystry facet, we właściwym momencie wyłączał telefon, otwierał gustowny barek, stawiał na zgrabnej podpórce szklaneczki do whisky i zgodnie z tujejszym rytuałem napełniał je tym boskim trunkiem. Nastawiał radio, muzyka grała. W sąsiedztwie Hyde Parku delectując się „szkocką”, z nieukrywanym zdziwieniem wysłuchiwaliliśmy wystąpienia przygodnych trybunów ludu. Górski z namaszczeniem przejął od kierowcy żarzące się hawańskie cygaro i wydawał dalsze rozkazy. Złożyliśmy kwiaty przed pomnikiem naszych lotników poległych w Bitwie o Anglię. Na zwiedzanie galerii figur woskowych Madame Tussaud’s tym razem czasu już nie było.

W przegranym meczu z Anglią 0:2 na Wembley nie grał Dariusz Dziekanowski. Fakt, był „enfant terrible” naszej reprezentacji (w przeszłości też ich nie brakowało), ale bez tego „kłopotliwego dziecka” drużyna sporo traciła na wartości. To jednak piłkarz dużej klasy. Dowiodło tego już następne spotkanie – również o punkty mistrzostw Europy – z Turcją w Stambule. Polska wygrała 1:0, a zwycięską bramkę zdobył właśnie Dziekanowski. Odżyły nadzieje na korzystny finał tej rywalizacji, bo rewanżowy mecz z Turkami w Warszawie wygraliśmy aż 3:0. Tym razem na Legii najlepiej zaprezentował się Roman Kosecki. Bezbramkowy remis z Irlandią w Dublinie też należało uznać za korzystny. Będzie wreszcie udany finał? Teraz w Polsce trzeba wygrać rewanżowe mecze z Anglią i z Irlandią!

## TRENER PREZESEM PZPN

Jesienią „biało-czerwoni” na arenie międzynarodowej uzyskiwali z reguły lepsze wyniki niż wiosną. To potęgowało optymizm. Duże nadzieje wiązano również z objęciem przez Kazimierza Górskiego prezesury PZPN. Może i na tej funkcji będzie tak skuteczny jak w roli trenera? Już w styczniu zapowiadane Nadzwyczajne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze odbyło się w dniach 10 i 11 czerwca 1991 roku. Moja rola w przygotowaniu tego futbolowego sejmiku była dość duża. Pomagałem Górskiemu, pełniącemu wtedy obowiązki prezesa, w ustaleniu składu sześciu merytorycznych komisji, w opracowaniu referatu sprawozdawczego, wyraziłem też zgodę na objęcie przewodnictwa w komisji wyborczej. To było kłopotliwe zadanie. Proszono w rozmowach telefonicznych lub „przypadkowych” spotkaniach o koleżeńską przysługę przy ustalaniu listy kandydatów do zarządu. Nawet dwaj dotychczasowi wiceprezesi i jeden dopiero ubiegający się o pezetpeenowskie szlify dość jednoznacznie sugerowali: „*Miej nasze nazwiska na względzie*”.

Kazimierz Górski był jedynym kandydatem na prezesa PZPN. Kiedy jego nazwisko podałem delegatom i zapytałem czy ktoś proponuje jeszcze inną osobę na tę funkcję, na moment zapadła grobowa cisza. Rychło jednak przerwał ją huragan braw. Nowy sternik Związku został wybrany przez aklamację. Zjawisko to, niegdyś dość powszechne, w światku piłkarskim tu i ówdzie nadal było praktykowane. Niespełna dwa miesiące wcześniej, mnie również w ten sam sposób, już na drugą kadencję wybrano w Warszawskim OZPN. W PZPN powierzono mi funkcję wiceprezesa do spraw szkoleniowo-sportowych. Kazimierz Górski nieco się wtedy zagalopował; do rangi wiceprezesów wyniósł aż sześciu członków zarządu, w tym dwóch z pionu szkolenia. To nie mogło zdać egzaminu.